„Powinien być nazwany polskim Frankiem Sinatrą."

Alicja Majewska w programie TVN „Niezniszczalny Zbigniew Kurtycz".

Zbigniew Kurtycz – śpiewające 95 lat

Hanna Milewska

Zbigniew Kurtycz urodził się i wychował we Lwowie, mieście uwiecznionym przez popularne piosenki, tworzące legendę miejsca magicznego – z piękną architekturą i serdecznymi mieszkańcami. Także piosenkarz (który udzielił obszernego wywiadu Stefanowi Szczepłkowi w „Rzeczpospolitej" w 2009 roku) przywołuje we wspomnieniach raj dzieciństwa: „[…] zamykam oczy i widzę inny świat. Ciepło, słońce, szczęśliwą rodzinę […]. We Lwowie żyli zgodnie Polacy, Ukraińcy, Niemcy, Żydzi, Ormianie i jakoś wszyscy ze wszystkimi potrafili się porozumieć… Piękne czasy, wydawało się nam, że to będzie trwało wiecznie". Mieszkał przy ulicy Lenartowicza. Po latach okazało się, że parę domów dalej mieszkała rodzina jego przyszłej żony, Barbary.

Ze Lwowa

Kurtycz przyszedł na świat 16 maja 1919 roku. Jego ojciec, Mieczysław, był z zawodu kolejarzem, ale miał wielkie pasje: muzykę i sport. Grał na kilku instrumentach. Dyrygował lwowską orkiestrą mandolinistów Hejnał i pracował społecznie w sekcji piłkarskiej klubu Pogoń. Zbigniew podzielał pasje ojca. Trenował piłkę nożną klubie Pogoń – grał na pozycji łącznika. Do jego kolegów z drużyny należał Kazimierz Górski, późniejszy słynny trener krajowej reprezentacji.

W 1937 Pogoń z Kurtyczem w składzie zdobyła wicemistrzostwo Polski juniorów. W finałowym meczu w Warszawie przegrała z Wisłą Kraków, a młody Kurtycz zmarnował szansę strzelenia gola. Ojciec długo nie mógł mu tego wybaczyć.

Po wojnie Kurtycz stał się zagorzałym kibicem Legii Warszawa. Bilety na mecze dostawał od… Kazimierza Górskiego, a w kibicowaniu najczęściej towarzyszył mu inny znany piosenkarz i aktor – Bohdan Łazuka.

Górski był kolegą Kurtycza i z boiska, i ze szkolnej ławy. Obaj ukończyli lwowskie IX Gimnazjum Humanistyczne im. Stefana Czarnieckiego. Równolegle Kurtycz uczęszczał do klasy fortepianu w szkole muzycznej. Wcześniej ojciec uczył go grać na skrzypcach i na gitarze; ostatecznie Zbigniew wybrał ten

Kurtycz z zespołem Zbigniewa Wicharego

ostatni instrument. Już jako gimnazjalista dorabiał sobie przygrywaniem na kursach tańca. Po maturze w 1939 został zawodowym muzykiem.

Po wybuchu II wojny światowej Lwów znalazł się na terytorium zajętym przez Związek Sowiecki. Do mieszkających tu literatów, aktorów, muzyków, którzy tworzyli kwitnące przed wojną życie kulturalne, dołączyli artyści – uciekinierzy z Warszawy. Powstawały nowe teatry, kabarety, zespoły muzyczne, szlagiery. Wielbiciele najpopularniejszego gatunku filmowego – komedii muzycznej – mogli oglądać występy sceniczne, m.in. Eugeniusza Bodo. Świetną orkiestrę Tea-Jazz zorganizował Henryk Wars, kompozytor największych przebojów piosenkarskich srebrnego ekranu. Śpiewającymi gwiazdami lwowskiej estrady byli Renata Bogdańska (późniejsza generałowa Andersowa), Zofia Terne, Gwido Boruński. Zbigniew Kurtycz występował w teatrze Feliksa Konarskiego

Zbigniew Kurtycz – polski Frank Sinatra

(Ref-Rena, późniejszego autora słów piosenki „Czerwone maki na Monte Cassino"), grał w big bandzie Tea-Jazz. Wraz z zespołem podróżował do różnych miast Związku Sowieckiego, m.in. do Kijowa, Moskwy czy Aszchabadu. W czasie tych wędrówek zostawił w pociągu swoją ulubioną gitarę hiszpańską, prezent od ojca.

Po ataku Hitlera na ZSRR koncertować było coraz trudniej. Kilku muzyków z Tea-Jazzu pojechało na występ w Czkałowie i tam postanowili przyłączyć się do zespołu jazzowego Adiego Rosnera, słynnego trębacza, niemieckiego Żyda, który znalazł schronienie w ZSRR. Niebawem ogłoszono

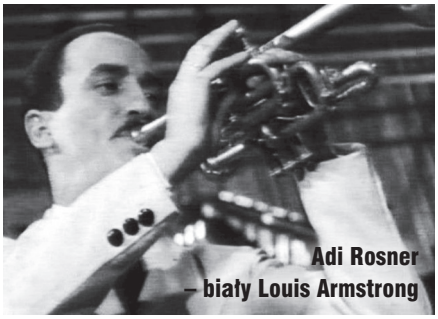

Adi Rosner – biały Louis Armstrong

nabór do Armii Polskiej generała Andersa. Przy armii utworzono zespół artystyczny, do którego wstąpił Kurtycz. Z III Dywizją Strzelców Karpackich przeszedł szlak przez Daleki Wschód, Irak, Iran, Libię, do Włoch. Walczył pod Monte Cassino.

Ceniony jako gitarzysta, postanowił spróbować sił w śpiewie. Jego ciepły baryton od razu zyskał sympatię słuchaczy. Od amerykańskich i angielskich żołnierzy polscy muzycy dostali nuty z przebojami słynnej orkiestry Glenna Millera. Kurtycz budo-

wał repertuar wokalny zarówno na hitach z przedwojennych polskich komedii filmowych („Już taki jestem zimny drań", „Umówiłem się z nią na dziewiątą"), jak i na piosenkach „Chatanoga choo choo". „In the mood", „You'll never know".

Wędrówka z muzyką

W rozmowie ze Szczepłkiem Zbigniew Kurtycz wspominał: „We Włoszech zastał

Kurtycz z Maciejem Maleńczukiem

mnie dzień zakończenia wojny. Zastanawiałem się, co robić – mogłem wybrać Anglię, tam osiąść na stałe i mogłem oczywiście wrócić do Polski. Strasznie mnie męczyła nostalgia, więc zdecydowałem jechać do Polski. Pamiętam, że na pozostanie na Zachodzie namawiał mnie usilnie doskonały pianista Leszek Krzaklewski, stryj pamiętnego Przewodniczącego Solidarności".

Oczywiście marzył o powrocie do Lwowa, ale w powojennym porządku świata miasto znalazło się poza granicami Polski. W 1946 Zbigniew wysiadł na krakowskim dworcu kolejowym, budząc zainteresowanie żołnierską kurtką z napisem „Poland". Spytał, czy ktoś zna kogoś ze Lwowa. Kolejarze przypomnieli sobie, że zawiadowcą stacji w Gliwicach jest lwowiak i zadzwonili do niego. Zawiadowcą tym okazał się… stryj Zbigniewa. Powitał bratanka słowami: „Zbysiu, przecież ty nie żyjesz". Rodzina przez kilka lat nie miała wiadomości o chłopaku i była przekonana, że zginął.

Pierwszym miejscem zamieszkania w powojennej Polsce były więc dla Kurtycza Gliwice, a potem – Kraków. Zaczął występować z orkiestrą Kazimierza Turewicza. W restauracjach „Feniks", „Cyganeria", „Warszawianka" śpiewał piosenki po angielsku; przyjął nawet pseudonim artystyczny „Eddie Grapton". Z septetem Zbigniewa Wróbla śpiewał w Zakopanem, m.in. na Gubałówce i nad Morskim Okiem.

W roku 1948 matka kobiety, z którą wtedy był związany, doniosła na niego na UB – był to najłatwiejszy sposób, żeby kogoś zniszczyć, zwłaszcza żołnierza z Armii Andersa. Kurtycza aresztowano pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Anglii. Spędził w celi dwa tygodnie, na szczęście został zwolniony. Zaproponowano mu współpracę polegającą na donoszeniu, co się dzieje w zakopiańskich lokalach, w których występował. Przez parę miesięcy Kurtyczowi udawało się unikać spotkania z pracownikami UB. W 1949 wyjechał do Warszawy i nie był już nagabywany.

Razem prawie 50 lat

Do stolicy zaprosił go Zygmunt Karasiński, dyrygent orkiestry 1000 Taktów Muzyki Jazzowej. Z tym zespołem Kurtycz śpiewał utwory Glenna Millera, najczęściej w kawiarni Kameralna, ale jeździli również po Polsce. Dzięki występom z Karasińskim, Kurtycz poznał m.in. Wierę Gran. Dostał nawet od niej piosenkę „Za dzień już nie spotkamy się w wielkim mieście". Drugim miejscem w Warszawie, w którym można było usłyszeć Kurtycza, był Warszawski Teatr Satyryków pod kierownictwem Jerzego Jurandota. Tam Zbigniew prezentował inny repertuar – piosenki charakterystyczne, dziś powiedzielibyśmy: aktorskie, kabaretowe. Kilkakrotnie zdarzyło mu się wystąpić w duecie z Bogną Sokorską, sławną śpiewaczką operową.

Kurtycz korzystał z każdej okazji, aby się rozwijać, poszerzać repertuar, uczyć się od innych artystów, z którymi zetknął go los. Na zaproszenie aktora Kazimierza Pawłowskiego, który został dyrektorem Teatru Satyry w Katowicach, Kurtycz wyjechał na Śląsk. Współpracował m.in. z zespołem Wiktora Kolankowskiego. Ze Śląska wywodził się Zespół Jazzowy Zbigniewa Wicharego; jeden z liderów nowego brzmienia orkiestr rozrywkowych. Dość powiedzieć, że tutaj stawiał swoje pierwsze profesjonalne kroki (na puzonie!) słynny saksofonista Zbigniew Namysłowski.

Wichary od połowy lat 50. XX wieku budował repertuar na przebojach muzyki amerykańskiej, standardach swingu i rock and rolla. Wśród współpracujących z nim wokalistów byli Carmen Moreno, Rene Glaneau, Katarzyna Bovery, Bogusław Wyrobek i właśnie Zbigniew Kurtycz, trzydziestoparolatek, a więc o dziesięć, piętnaście lat starszy od wschodzących „odwilżowych" gwiazd polskiej muzyki rozrywkowej, ale zachowujący młodzieńczą sylwetkę i barwę głosu, wciąż pełen energii, otwarty na nowinki, chętnie próbujący sił na nieznanych terytoriach muzycznych. Poszerzył repertuar o piosenki komponowane dla niego i przez niego, ale cały czas prowadził „jazzowy" wątek swojej kariery. Występował na koncertach tragizowanych przez Leopolda Tyrmanda, a akompaniowały mu takie tuzy polskiego jazzu, jak Andrzej Kurylewicz, Jerzy „Duduś" Matuszkiewicz z legendarnych „Melomanów" czy Lesław Lic.

Z epizodem katowickim łączy się historia jednego z hitów Kurtycza – „Jadę do ciebie tramwajem" (kompozycja własna do słów Janusza Odrowąża). Jak wspominał po latach: „To piosenka napisana jakby na zamówienie. Chodziło o to, żeby napisać jakąś ładną piosenkę o Katowicach, popularne wówczas były katowickie tramwaje, więc tramwaj jest jej bohaterem".

Jej autorska interpretacja to prawdziwe arcydziełko. W trzech krótkich zwrotkach z chwytliwym refrenem udało się pokazać gamę nastrojów i falowanie uczucia, atmosferę wielkiego miasta i charakter podmiotu lirycznego, a wszystko to środkami wokalno-aktorskimi, frazowaniem, niuansowaniem dynamiki, modulowaniem głosu od prawie szeptu do okrzyku, od melorecytacji do kantyleny. Mistrzostwo.

Wciąż do przodu

Połowa lat 50. XX wieku to pierwsze płyty Kurtycza. W 1954 zarejestrował m.in. piosenkę „Gdy się kogoś ma", napisaną dla niego przez Władysława Szpilmana. Nagrania płytowe i audycje radiowe uświadomiły słuchaczom, co to znaczy nowoczesne śpiewanie – wyczucie swingu, poczucie humoru, modulowanie barwy. Do tego pomysłowe aranżacje, wykorzystujące bigbandowe brzmienia – czuć było, że w polskiej piosence idzie nowe. Pionierami zmian byli Maria Koterbska i Zbigniew Kurtycz. O ile Koterbska nigdy w zasadzie nie wyszła poza image stworzony w początkach kariery, o tyle Kurtycz wciąż eksperymentował. I to właśnie jego uważa się za wykonawcę pierwszego polskiego rock and rolla – „W Arizonie", z muzyką Wiesława Machana (ówczesnego dyrektora muzycznego Teatru Syrena) i słowami Janusza Odrowąża. Nie sposób się powstrzymać od przytoczenia tekstu:

W Arizonie, w Barcelonie, w Yokohamie,
w Amsterdamie,
wszędzie dźwięczy dziś
rock, rock, rock & roll.
W Urugwaju, w Biłgoraju, w Argentynie,
O! W Garwolinie,
wszędzie tańczą dziś
rock, rock, rock 'n' roll.

Coś musi być, że świat zwariował,
coś w sobie ma melodia ta:
prosty rytm, niemądre słowa,
a bierze na sto dwa.
Ooo!

W Arizonie, w Barcelonie, w Yokohamie,
w Amsterdamie,
wszędzie dźwięczy dziś
rock, rock, rock & roll.
Rock, rock, rock 'n' roll.

„Cicha woda" – nuty na głos i fortepian

Największe przeboje duetu

Zgrany duet małżeński

Jeden z longplayów duetu

Utwór „W Arizonie" nie spodobał się jednak władzom; nie był nadawany. Cudem przetrwał w archiwach radiowych, a dziś można posłuchać go… na Facebooku, na fanpejdżu Kurtycza (http://www.youtube.com/watch?v=BQo-iH91TMPI).

W 1958 roku Zbigniew Kurtycz zamieszkał w Warszawie na stałe. Związał się między innymi z dwiema radiowymi audycjami rozrywkowymi, emitowanymi na żywo: „Podwieczorek przy mikrofonie" i „Zgaduj zgadula". Występował też w kabarecie Olimp w hotelu Grand i na estradzie kawiarni „Pod Gwiazdami". Kiedy w 1964 zmarł Julian Sztatler, który w tym ostatnim lokalu prowadził program „Studio pod Gwiazdami", Kurtycz przejął po nim pałeczkę.

Pod koniec lat 50. zaczęły się również wyjazdy na zagraniczne tournée – głównie do krajów socjalistycznych, ale także do Austrii, Kanady i Stanów Zjednoczonych. Popularność zdobywały nowe piosenki, w tym własnego autorstwa, np. „Wołam cię" (do słów Mieczysława Walewskiego).

Cicha woda

Największym przebojem Zbigniewa Kurtycza pozostaje bezdyskusyjnie „Cicha woda". Historia tej piosenki jest mało znana, a bardzo ciekawa i dość skomplikowana. Melodię fokstrota canto napisał jeszcze w latach 30. XX wieku wspomniany już tu Adi Rosner. W 1941 roku, w czasie kolejowej podróży z koncertu na koncert, Kurtycz zagrał mu tę melodię na gitarze, z dokomponowanym przez siebie refrenem. Muzyka miała pasować do zawadiackiego tekstu rosyjskiego „Ajda parień, parieniok" – i ten, bardzo popularny, utwór nagrał piosenkarz radziecki Paweł Gofman. Jako jedyny kompozytor we wszystkich źródłach podawany jest Rosner i Kurtycz nigdy nie robił z tego powodu problemu. O własnym wkładzie melodycznym mówi w tonie anegdoty.

W 1952 roku, kiedy w Krakowie omawiał repertuar swoich występów w Teatrze Satyryków i w grę wchodziła piosenka Rosnera w wersji rosyjskojęzycznej, poeta Ludwik Jerzy Kern zaproponował, że napisze całkiem nowy, polski tekst. Za szlagwort posłużyło przysłowie „Cicha woda brzegi rwie". W 1954 powstało nagranie płytowe z orkiestrą Kazimierza Turewicza i brawurową solówką fortepianową Jerzego Abratowskiego. Kurtycz mówi żartobliwie: „Czasami jeszcze dziś zdarza mi się, że ktoś starszy patrzy na mnie, nie mogąc sobie przypomnieć nazwiska i mówi: już wiem, «Cicha woda!»".

W roku 2009 Kurtycz nagrał tę piosenkę ponownie, tym razem w duecie z… Maciejem Maleńczukiem i zespołem Psychodancing. Najpierw jednak, w roku 2005, doszło do wspólnego występu obu panów na festiwalu w Opolu. Na zakończenie Maleńczuk pocałował sędziwego piosenkarza w rękę.

Dunin & Kurtycz

Od prawie półwiecza Zbigniew występuje w duecie Dunin & Kurtycz, na estradzie i w życiu. W 1964 roku przyjechał z Warszawy na gościnne występy do Krakowa i tak poznał młodziutką piosenkarkę Barbarę Dunin (ur. 1943 w Krakowie). Barbara była absolwentką szkoły muzycznej w klasie fortepianu. Kształciła też głos, ale raczej w kierunku operowym, co z pewnością także na niwie popu pomaga jej w emisji, higienie wokalnej i ogólnej kulturze śpiewu. Starszy o 24 lata gwiazdor spodobał się dziewczynie – był przystojny, szarmancki, opiekuńczy i bezpretensjonalny. Ale nie tylko różnica wieku budziła wątpliwości Barbary i jej rodziców. Zbigniew miał już za sobą rozwód; był też ojcem dwóch nastoletnich synów. Natomiast z punktu widzenia konwenansów społecznych związek ze śpiewającym synem kolejarza był mezaliansem dla Barbary Dunin, hrabiny Łabędzkiej.

Amor omnia vincit. Ślub odbył się w roku 1965 i chociaż w trakcie ceremonii był problem z nałożeniem obrączki na palec pana młodego, małżeństwo trwa do dziś, już 49 lat! Zdaniem Jerzego Połomskiego, są dla siebie stworzeni. „Rybeńka" (czyli Barbara) i „Mycha" (Zbigniew) nigdy się ze sobą nie nudzą, nigdy się nie rozstają. Co niedziela po mszy w kościele środowisk twórczych przy Placu Teatralnym w Warszawie spotykają się na kawie z paczką przyjaciół. Barbara działa aktywnie w zarządzie ZASP-u.

Pozostała przy nazwisku panieńskim, aby, jak twierdzi, „nie zawłaszczać sobie prawa do jego wcześniejszej twórczości". Razem osiągnęli całkiem sporo. Debiut duetu wokalnego Dunin & Kurtycz nastąpił

w 1966 roku w warszawskiej kawiarni Ewa, na Giełdzie Piosenki. Zaśpiewali „Bardzo proszę, nie odmawiaj” (muzyka: Adam Markiewicz, słowa: Kazimierz Winkler). A potem ruszyła karuzela wspólnych koncertów i płyt. Ostatnią, „Słodkie radio Retro”, nagrali w roku 2000 dla Polskiego Radia. A kiedy Zbigniew przekroczył dziewięćdziesiątkę, jeszcze czasem występowali.

Zasłużony artysta

Wojciech Mann, znany dziennikarz muzyczny i satyryk, urodził się w 1948 roku, czyli blisko 30 lat po Kurtyczu. Swoją przygodę z muzyką zaczynał wtedy, gdy Kurtycz odnosił największe sukcesy. W wywiadzie dla „Playboya” (2013) wspomina: „… pierwszą płytą, którą puściłem na moim gramofonie, był stary singiel Zbigniewa Kurtycza. Nie pamiętam, co się z nim stało, ale niewykluczone, że podzielił los innych płyt, które z 7. piętra poszybowały na dach małej stacji benzynowej przy skrzyżowaniu Dobrej i Tamki. Sprawa chyba się już przedawniła, więc mogę spokojnie o niej mówić. Wszystkie stare płyty na 78 obrotów, które mi się nie podobały, wyrzucałem przez okno. Pracownicy stacji wychodzili na zewnątrz, zdziwieni, co tak stuka, ale nigdy nie chciało im się wejść na dach. Znaleźliby tam całkiem sporo kawałków światowej muzyki”.

Zbigniew Kurtycz z pewnością nie jest bohaterem pokolenia Manna i następnych generacji powojennych, ale nie może narzekać na brak odbiorców ani zainteresowania. Dowodem na to – opisana reanimacja „Cichej wody”. Dziewięćdziesięciopięcioletni Kurtycz jest w zadziwiająco dobrej formie fizycznej i psychicznej, choć przyznaje, że żona ma lepszą pamięć. Jeszcze w wieku 87 lat grywał w tenisa. W deblu ze Zbigniewem Tyczyńskim wygrał wtedy z Danielem i Agatą Passentami. Teraz ćwiczy kondycję w czasie nadmorskich spacerów w Sopocie, dokąd uwielbia wyjeżdżać z żoną.

Zdobył najwyższe odznaczenia państwowe: Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski i Złoty Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

O czym marzy? O spokojnej śmierci w czasie snu. I o tym, żeby Bóg powiedział jemu i żonie na powitanie: „Znam wasze piosenki”.

***

Więcej o Zbigniewie Kurtyczu na tle dziejów polskiej piosenki powojennej można przeczytać m.in. w książkach Marka Gaszyńskiego „Fruwa twoja marynara” i Dariusza Michalskiego „Piosenka przypomni ci… Historia polskiej muzyki rozrywkowej, lata 1945-1958”. ■

Jazz Jamboree ‘63 volume 01
Polish Radio Jazz Archives 12

Polskie Radio 2014

Muzyka: ●●●○○
Realizacja: ●●○○○

Pierwszą cześć kroniki Jamboree ‘63 wypełniają nagrania holenderskiej wokalistki Rity Reys oraz zespołów Jerzego Miliana i Krzysztofa Komedy.

Bohaterką albumu jest niewątpliwie Reys, której towarzyszy trio pianisty Pima Jacobsa (prywatnie męża wokalistki).

Na płycie znalazło się trzynaście utworów, głównie standardów, w jej wykonaniu. W latach 60. była nazywana pierwszą damą jazzu w Europie. Odnosiła też sukcesy w Stanach, współpracując m.in. z Artem Blackeyem, Horace'em Silverem i Chico Hamiltonem. Jej styl ukształtował się pod wpływem wielkich śpiewaczek epoki swingu, zwłaszcza Elli Fitzgerald, co dobrze słychać w nagraniach.

Reys śpiewa czysto, lekko, z gracją i humorem. Sprawnie posługuje się scatem („S Wonderful”); czasami, jak w „Sophisticated Lady”, nadużywa wibrata i wtedy jej głos brzmi manierycznie.

Wszystkie utwory są zwarte i przybierają formę prostych piosenek – wstęp fortepianu, zwrotka, refren, zakończenie. Po niemal 50 latach, jakie upłynęły od tego koncertu, interpretacje Rity Reys bronią się całkiem nieźle. Podobały mi się zwłaszcza „Get Out Of Town” oraz niebanalna wersja „Summertime”.

Trzy nagrania polskich zespołów są właściwie dodatkiem do recitalu Holenderki i nie wyróżniają się szczególnie, może poza „repetytywnym” „What's Up Mr. Basie” w wykonaniu kwintetu Komedy. ■

Bogdan Chmura

Cup of Time
Plays Namysłowski

Muzyka: ●●●●●
Realizacja: ●●●●●

Zbigniew Namysłowski należy do najbardziej oryginalnych i płodnych twórców w historii polskiego jazzu – „Siódmawka” czy „Kujaviak Goes Funky” to prawdziwe perełki. Niestety, nikt poza autorem i (w odległej przeszłości) Michałem Urbaniakiem nie wykonuje tych utworów. Jedynym stale granym kompozytorem pozostaje Komeda.

Kwartet Cup of Time postanowił zmienić tę sytuację i wziął na warsztat osiem kompozycji Namysłowskiego, inspirowanych polskim folklorem i tańcami. Repertuar projektu został poszerzony o śląskie melodie ludowe, „Kujawiaka” Grażyny Bacewicz i utwory członków zespołu.

Powstał cykl zupełnie nowych kompozycji o lekkim, etnicznym charakterze i bogatej kolorystyce. Wśród członków Cup of Time wyróżnia się lider – Ryszard Borowski. Jego flet dominuje w zespole – wnosi klasyczną elegancję i jazzowy nerw. Bardzo dobrze spisują się: wiolonczelista Krzysztof Lenczowski (grający na co dzień w jazzującym Atom String Quartet), akordeonista Rafał Grząka oraz skrzypaczka Agnieszka Cypryk.

Oryginalnym pomysłem okazało się zaproszenie do nagrań samego Namysłowskiego. Artysta jednak pojawia się tylko w tych utworach, które akurat nie wyszły spod jego pióra. Uwagę zwraca zwłaszcza jego wstęp i improwizacja w „Kujawiaku” Bacewicz.

Świetny album. Muzyka adresowana do fanów jazzu, klasyki i folku. ■

Bogdan Chmura